

ZOFIA UJMA

ur. 1926; Puławy



Miejsce i czas wydarzeń	Puławy, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Puławy, dwudziestolecie międzywojenne, ulica Izabelli, dom rodzinny, rodzina, sąsiedzi, lokatorzy, rabin, koledzy, życie codzienne, dzieciństwo, warunki życia

Dom rodzinny przy ulicy Izabelli w przedwojennych Puławach

Nikt z rodziny nie ma zdjęcia nawet tego domu. Ładny miał taki front, tam był taki ogródek z jednej strony i z drugiej strony. Szerokie dosyć były schody [wejściowe], dwanaście stopni, były takie boczne bariery, szeroka była ta płaszczyzna taka przed wejściem, duże drzwi. No, on nie był jakiś tam nadzwyczajny, no ale taki, powiedziałabym, jak na Puławy, na owe czasy – bo tam willi żadnych tak dużo nie było, może gdzieś na Działkach sobie ludzie budowali – przyzwoity dom. Miał oficynę i miał takie duże podwórko, gdzie dzieci mogły się bawić. Jak rosły takie badyle, to dozorca musiał to takim nożem wyskrobywać, przychodziła policja. A był rynsztok kawałek przed domem, bo to była jezdnia i rynsztok, to na tym rynsztoku były kamienie, to też musiał chodzić i musiał to wszystko wygrzebywać, bo policja chodziła, że tu nieporządek. To nie tak jak dzisiaj, że plują, rzucają niedopałki, wszystko. Trawę trzeba było wycinać stąd. Kłós się nazywał [dozorca], miał syna, to był tapicerem. Drugi syn poszedł do wojska, Stanisław. Ten pierwszy to był Antoś, ten drugi Stanisław, zginął w czasie wojny, znaczy w [19]39 roku, poszedł do wojska i zginął. I miał jeszcze córkę Helenę i córkę Wacławę, ze mną chodziła do klasy.

Budynek był piętrowy. Jak pamiętam, byłam jeszcze dosyć mała, na pierwszym piętrze po prawej stronie mieszkał rabin. Miał brodę, miał takie pejsy. Nie wiem, ile tam dzieci miał, wiem, że miał małe dziecko, siedziała ciągle na podwórku ta jego żona i tylko śpiewa mu. A był taki czas, że mieszkaliśmy w innym mieszkaniu, przylegającym do ich, to ja w ogóle nie mogłam usnąć, byłam taka jeszcze mała, bo ciągle ta Żydówka mu śpiewała, temu dziecku, całą noc prawie mu tam śpiewała i nie było końca tego, to pamiętam. A jak była na podwórku z tym dzieckiem, to biegła za mną, żebym ja przysłała, bo jej dziecko nie chce jeść. I ona mnie ciągnęła za rękaw do tego dziecka i ciągle mi mówiła: „Zosiu, jedz, to i ono będzie jadło”. A ja, mówię prawdę, się brzydziłam, bo w jakimś kubku miała jakieś coś tam rozmieszane i mi chciała łyżkę do buzi włożyć, a ja sobie tego nie dawałam włożyć, wrywałam się. A

ona mówi do tego dziecka: „No, patrz, Zosia je”, a ja w nogi. Takie dziecinne wspomnienia, ja wtedy miałam może z pięć lat czy ileś, a to dziecko było mniejsze, mogło mieć dwa latka, małe takie całkiem było. Ona koniecznie chciała, żeby jadło, ono nie chciało i chciała, żebym ja [jadła], jak ja będę jadła, to i to dziecko na pewno zje. Dziecko nie jadło i ja też nie chciałam. I tam były taki brud, taki smród, ciągle jakieś czosnki, jakieś cebule, ciągle przychodzili ci Żydzi tacy z pejsami. Religijnie może na poziomie [byli], ale jeżeli chodzi o mieszkanie, to było w strasznym stanie. Tam trzeba podłogi było zrywać, było wszystko zniszczone, zmarnowane. On tam tyle lat mieszkał, ale ciotka, która prowadziła administrację, wypełniła wniosek i ich stamtąd usunięto, tego rabina. I później on mieszkał na Czartoryskich, jak się wchodzi na Czartoryskich po prawej stronie, w pierwszym domu, na parterze. To tak się wchodziło jak do sklepu do niego, tak z parteru. To mieszkanie było szalenie zniszczone, pognite podłogi, w ogóle w strasznym stanie. I zgłosił się taki pan drugi, też Żyd, nazwiska nie pamiętam, miał na Lubelskiej drukarnię, on to mieszkanie wyremontował, z tym że on nie płacił za mieszkanie, mógł tak długo nie płacić, dopóki nie pokryło to wydatków, które były związane z jego kosztami, bo on poniósł koszty, wyremontował mieszkanie, które przecież nie było jego. Tak że on mógł mieszkać tak długo, dopóki nie wyczerpią się te koszty, które on poniósł. Mieszkał z żoną i miał dwóch synów, żona jego bardzo ciężko chorowała, on ją często wywoził do Austrii, do Wiednia. Podobno była trędowata, tak tam ktoś mówił i ona zmarła tuż przed wojną. To był bardzo przyzwoity, bardzo przyjemny pan, a jego żona była taka spokojna, taka cichutka, taka delikatna, taka mimoza, powiedziałabym. Taka bardzo przyzwoita rodzina i ci chłopcy byli tacy grzeczni. Myśmy się z nimi przecież bawili. Starszy syn to mógł mieć siedemnaście lat, a ten młodszy pewnie miał dziewięć-dziesięć, może trochę mniej, pamiętam, że się nazywał Beniek. No, zawsze nam przynosił macę do jedzenia. Bawiliśmy się, razem graliśmy w piłkę czy coś takiego. Z tym młodszym, bo ten starszy to był taki kawaler już trochę, to on z nami się nie chciał bawić. Miałam trzynaście lat, a ten Beniek to może miał dziewięć-dziesięć, to myśmy się bawili z nim. Ten starszy przychodził, stał na schodkach i tylko się nam przyglądał, ale specjalnie się do zabawy z nami nie garnał. No, ojciec pracował w drukarni, wstawał pewnie rano i chodził do drukarni, na Lubelskiej miał tę drukarnię. Tam gdzieś niedaleko taka była na Lubelskiej cukiernia Ryszarda, to tam chyba przed tym miał właśnie lokal. Tam się tak wszystko pozmieniało teraz, że ja niczego nie mogę poznać w tych Puławach. Wszystko jest inaczej.

Vis-à-vis jak się wchodziło na pierwsze piętro mieszkała mojego ojca siostra z rodziną, a po lewej stronie było bardzo duże mieszkanie, kiedyś tam była kasa komunalna, bo to [było] olbrzymie, właściwie na całe piętro to pomieszczenie było. Tam były kasy i tak dalej, i tak dalej, później oni się gdzieś przenieśli do śródmieścia i przed wojną, to było tak już tuż, tuż przed wojną, jakiś czas myśmy tam mieszkali, ja z rodzicami, ale to było za wielkie mieszkanie dla nas. Pięcioro nas było, ale to był olbrzymi hol, który nawet trudno było ogrzać, tak że myśmy się przenieśli na parter, a

to mieszkanie zostało wynajęte. Tam była taka szkoła, która prowadziła naukę młodych dziewcząt na krawcowe. Tam maszyny poprzywozili i była instruktorka, która uczyła te dziewczęta krawiectwa. I było do samej wojny to pomieszczenie zajęte.

Na parterze myśmy mieszkali i mieszkała moja ciotka, Grzybkówna, po mężu Wasilewska, która przyjechała z rok-dwa może przed wojną, bo mieszkała z mężem najpierw w Wilnie, potem w Brześciu, on był oficerem, uległ wypadkowi i był na rencie inwalidzkiej. W związku z tym przyjechali do Puław, bo to była własna kamienica. Jak się wchodziło z ulicy po prawej stronie mieszkała właśnie ta ciotka, następne mieszkanie zajmowała moja rodzina, a po lewej stronie długi czas mieszkał Żyd z żoną i córką. On był lekarzem internistą, a jego żona była stomatologiem. On nie pracował w domu, tylko gdzieś w ubezpieczalni może, natomiast jego żona miała gabinet tam. Oni zajmowali całą lewą stronę tego parteru. Córkę mieli taką już [w wieku], przypuśćmy, siedemnastu lat czy tam może szesnastu, chodziła do gimnazjum w Puławach. Nazywali się Dawidsonowie. Dawidson przychodził też często, jak byłam [chora], ja często na anginę chorowałam, to to pamiętam. A u tej dentystki to sobie zęby leczyłam jako dziewczynka, jak te mleczne zęby się psuły, chodziłam do niej, bo to było po drugiej stronie korytarza, vis-à-vis mieliśmy drzwi, jej gabinet i nasze mieszkanie. To byli spokojni ludzie, nie wiem, z kim utrzymywali kontakty czy coś. Wiem, że mieli służącą, było osobne wejście od podwórka z boku do ich mieszkania, a tu od korytarza, w domu, było wejście do jej gabinetu i do poczekalni. I Polacy, i Żydzi [się leczyli], kto chciał, przychodził.

To tyłu było [lokatorów] w tym budynku, a w oficynie mieszkała, przez ścianę z nami, mojej matki stryjeczna jakaś tam siostra, mieszkała jej matka, też miała osobne jakieś takie pomieszczenie. To nie była duża oficyna, na górze mieszkali państwo Borusiakowie. On miał cukiernię na rogu Lubelskiej i Dęblińskiej, narożny budynek taki, Lubelską [się] idzie i na Dęblińską [skręca], to on miał tam cukiernię. I miał czworo chyba dzieci. Miał najstarszą córkę Irenę, bardzo piękną. Druga to była koleżanka mojej siostry, Dzidka ją nazywali, przypomniałam sobie. Mieli jeszcze syna Karola, on był taki, jak to powiedzieć, mułowaty. Mogę tak określić. Młody chłopak, siedemnastoletni, ale taki jakiś niemrawy, nie był takim całkiem normalnym chłopcem. I miał taką budowę, może dlatego, że był strasznie podobny do ojca, ojciec jego też taki był nieduży, gruby i ten chłopak widocznie w niego się jakoś [wdał]. Szczególne mnie raziło to u tego chłopca, bo tam na starszych tak człowiek młody nie zwracał uwagi. I mieli małe dziecko, taką dziewczyneczkę, która mogła mieć trzy lata – kontrast, jeżeli chodzi o wiek dzieci, bo ta najstarsza Irena to już miała ze dwadzieścia lat pewnie, może więcej. Po lewej stronie mieszkali jacyś państwo, ale nie pamiętam. A na dole mieszkał krawiec, nie wiem, jak się on nazywał. To było małżeństwo bezdzietne i u nich wychowywał się syn [siostry] żony tego krawca, to był siostrzeniec jej. On się nazywał Ignaciuk. A od frontu naszego domu przylegającego do tego placu z lodem było jeszcze jedno pomieszczenie, wejście osobne [miało], i tam ten krawiec miał pracownię swoją. Mieszkanie miał od podwórka, tam wewnątrz,

a tu miał właśnie taką pracownię krawiecką. A jeszcze mieszkali Żydzi tam, gdzie mieszkał krawiec później, [oni się] wyprowadzili, bo taka była jakby dzielnica żydowska, tak w głębi, jak Dęblińską się szło w kierunku przeciwnym do Lubelskiej, tam gdzieś z tyłu, tam była taka dzielnica żydowska. I tam była szkoła żydowska, oni się tam gdzieś przeprowadzili. Tu mieszkali jakiś czas, gdzie ten krawiec, bo krawiec później się wprowadził. Oni się nazywali chyba Edelmanowie, coś mi to nazwisko siedzi w głowie. Nie wiem, czy się [nie] mylę. To było kilka osób, bo krawiec to był tylko z żoną [i jej siostrzeńcem], bo to było takie pojedyncze mieszkanie, pokój z kuchnią.

A na samej górze, na facjatce, po lewej stronie mieszkała taka samotna pani z córeczką, a po prawej stronie mieszkała moja ciotka, druga siostra mojej matki, Janina, która prowadziła administrację domu. Tam były na środku strychy dla lokatorów, a te boczne [części] – tam kuchnia była, coś takiego – były urządzone już na mieszkania, a nie na strych.

Nie było centralnego ogrzewania, nie było ubikacji, nie było wody, wtedy nie było tych rzeczy. Do wody to się leciało na Lubelską, do pompy po wodę. Była taka Żydówka, która przylatywała co pół godziny i pytała tylko, [czy trzeba wody], mama mówi: „Nie trzeba, za godzinę przyjdź, to przyniesiesz”. No i za chwilę znów wpadała do sąsiadki. No, biedna taka, miała kilkoro dzieci i chciała zarobić jak najwięcej.

Tam do wojny mieszkaliśmy. Mój dom został spalony w czasie wojny, już kilka dni po wkroczeniu Niemców tam jakąś puszczone bombę taką zapalającą i to uderzyło w komórkę, która przylegała do domu i to wszystko spłonęło. A ponieważ nas nie było, nic nie zostało. Myśmy byli tylko w tym, co mieliśmy na sobie.

Data i miejsce nagrania	2003-09-29, Puławy
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"